



TOMASZ
FIJAŁKOWSKI

SIERP KRONOSA

Posłowie: Jacek Ingłot



ODMIENNE STANY
FANTASTYKI
odespa
WYDAWNICTWO



Koła powozu utknęły w błotnistej koleinie. Młody mężczyzna podniósł się z kozła, wykrzyknął kilka przekleństw i w przy-
pływie irytacji lub bezradności trzy razy ciał konia batem, o mało
nie tracąc przy tym równowagi. Smagnięte zwierzę zarżało
opętańczo, oparło całe cielsko na tylnych nogach i wyszarpnęło
pojazd z potrzasku. Jechałem za wolno, pomyślał młodzieniec,
gdybym nie oszczędzał konia, już dawno byłbym na miejscu,
a wóz przefrunąłby nad tymi błotami.

W ciemnościach, rozjaśnionych zaledwie połową księżycy
i jedną przytwierdzoną do powozu lampą, nie sposób było ujrzeć
czegokolwiek więcej niż ściany potężnych lip, dębów i innych
drzew, których korony spletały się ponad drogą, tworząc szelesz-
czące sklepienie.

Szczęśliwie dla Wiktora, a tak miał na imię nasz wędro-
wiec, sierpniowe noce wciąż były ciepłe, tak jak ciepłe były
dni kończącego się powoli lata. Krótkie gwałtowne deszcze
spłukiwały kurz, orzeźwiały pastwiska, przynosiły wytchnienie
roślinom, niestety również padały na drogi, które w tej prowincji
Korony wciąż czekały na solidne utwardzenie.

Cierpka woń spoconego zwierzęcia, zaduch puszczy,
w której trzęsawiska i płytkie stawy czekały na nieuważnych
wędrowców, a także zapach pleśni toczącej powalone drzewa
– to wszystko mieszało się w nocnym powietrzu. Gdyby powóz
znów się zatrzymał, a skrzypiąca konstrukcja na drewnianych
resorach zastygła w bezruchu, do naszych uszu dotarłyby



odgłosy zwierząt stojących na straży swoich terytoriów lub rozpoczynających polowanie.

Nie, podróżny nie bał się ani ciemności, ani opowieści o tym, co w owych ciemnościach nad brzegiem leśnego jeziora ponoć się dzieje. (Na wszelki wypadek zabrał ze sobą dwa pistolety, które zawczasu przygotował mu jego przyjaciel, Feliks.) Ten rodzaj strachu był mu obcy, a chcąc dać świadectwo odwagi i niedowiarków przekonać, że nie istnieje nic, czego ludzki rozum by nie przezwyciężył i czego by nie zrozumiał – przyjął pewien zakład.

Dokładnie dziś, 22 sierpnia, w kolejną rocznicę samobójczej śmierci młodej baronówny, Eleonory Wittwickiej, Wiktor miał znaleźć się nad jeziorem, w którym utonęła. To właśnie dziś jej rodzina wspomina nieszczęśliwą miłość, która pchnęła biedną dziewczynę do rozpaczliwego gestu. Rozkochana (z wzajemnością, dodajmy) w jednym z nauczycieli kształcących jej młodsze rodzeństwo, rozdarta pomiędzy głosem serca a nieustępliwą wolą rodziców, którzy zawczasu rozdzielili mających się ku sobie młodych, zrobiła to, co sugerowały liczne romanse podsuwane jej przez starszego od niej adoratora.

Napisała list pełen dramatycznych sformułowań i wybujałych metafor, którym żegnała się z okrutnym światem. List ów zostawiła w swoim pokoju, sama zaś ruszyła konno na skraj rodzinnego majątku, gdzie zaczynał się las. Jadąc kilka kilometrów szeroką ścieżką wiodącą prosto do niewielkiego głębokiego jeziora, które tkwiło jak ciemny kamień w szmaragdowej oprawie puszczy, ani na moment nie dopuściła do siebie myśli, że może zmienić podjęty wcześniej zamiar.

Przeciwnie – buzująca samobójcza idea usidliła ją, opętała, a wspomnienie kilku innych młodych nieszczęśliwie



zadurzonych ludzi uskrzydliło jej wołę. Czując się niemal jak heroina z romansów przemycanych do dziewczęcych pokojów, nie zważając ani na komary tnące jej odsłonięte ramiona, ani na kolczaste krzaki drące jej suknię, dotarła nad sam brzeg jeziora. Zsiadłszy z konia, przebiegła po drewnianym pomoście i tłumiąc w sobie wszelką myśl, rzuciła się w objęcia zimnej obojętnej toni. Jej ciała nigdy nie znaleziono.

Od tamtej pory, a minęły już całe lata, okoliczni wieśniacy rozpowiadali, że w ciepłe sierpniowe noce, gdy księżyc rozcina kłębiące się nad puszcza ciemności, w pobliżu jeziora „złe rzeczy się wyprawiają”. Mgła zasnuwa okolicę, a w mgle tej słychać krzyki, jęki, prośby wyrażone głosem niby ludzkim, ale w żadnym z języków znanym miejscowym. Jakieś cienie bez swoich właścicieli w mgle tej błądzą, szukając przejścia z tamtego na nasz świat. Sama panienska Eleonora w sukni jaśnienteńkiej, jaśniejszej niż blask stu świec, staje na krawędzi pomostu i kiwa drobną rączką, by razem z nią w jeziorze się zanurzyć...

Ile jest w tym prawdy, powiedzieć może każdy leśnik, każdy bartnik, gdy mu tylko kieliszek lub dwa wódki w karczmie podać i woreczek z tytoniem tureckim na stole położyć.

Wróćmy jednak do teraźniejszości, kiedy to nasz nocny podróżny stara się odnaleźć znak, jaki miał pomóc mu trafić nad przeklęte jezioro. A tam, na końcu pomostu, jego przyjaciele mieli zostawić pewien przedmiot, który byłby dowodem udanej wyprawy.

– Przywieziesz tę książkę jutro rano do dworku Wittwicznych – oznajmił w imieniu wszystkich Feliks. – Będziemy czekać tam na ciebie. Nie przyjedziesz lub wrócisz bez niej, a wtedy



się okaże, żeś błazen i tchórz. Przywieziesz, a wtedy przy winie opowiesz nam, coś tam widział i słyszał.

– A cóż to za książka?

– „Podręcznik anatomii” Glassa – uśmiechnął się Feliks. – Jedyne egzemplarz z biblioteki twojej uczelni. Drugiej takiej nie znajdziesz.

– Ukradłeś ją?!

– Pożyczyłem na nieco dłuższą chwilę. I mam nadzieję, że będę mógł ją oddać po wakacjach.

*

Tak więc chcąc nie chcąc, przeklinając porywy młodzieńczych ambicji, nasz bohater podjął wyzwanie i jako zatwardziały empiryk, racjonalista z krwi i kości, miłośnik rozumu, musiał podnieść ciężar, który niejako sam na własne barki włożył. Od zawsze zaprzeczając istnieniu zjawisk nadnaturalnych, zmuszony został do konfrontacji z tym, czemu istnienia odmawiał.

Jechał wolno, pilnując, by wóz ani razu nie zatrzymał się w błotnistej mazi, a jednocześnie starał się wypatrywać znaku, który ponoć miał być doskonale widocznym w ciemności oświetlonej jedną lichą lampką.

Naraz jakiś mglisty zarys zamajaczył tuż na granicy widzenia, jaką zakreśliło chybotliwe źródło światła. Wiktor zatrzymał powóz.

– Jest tam kto?! – krzyknął w kierunku białawej plamy unoszącej się w powietrzu. – Ktoś ty?! – powtórzył pytanie, ale nic nie odpowiedziało na jego wołanie. Cisza lasu zdawała się gęstnieć.



Biały kształt ani drgnął.

Młody mężczyzna zebrał całą odwagę i sięgnął po schowany w skórzanej sakwie pistolet. Teoretycznie problem rozbójników łupiących nieostrożnych podróżnych rozwiązano jeszcze w zeszłym stuleciu, ale... Nie spuściwszy wzroku z widmowego kształtu, zeskoczył na ziemię i stanął obok zmęczonego konia – jedynego towarzysza nocnej eskapady. Drżącą dłonią odczepił wiszącą latarnię i podniósł ponad głowę. Krąg światła rozszerzył się. Wiktor zrobił kilka niepewnych kroków, czując pod podeszwami obrzydliwie miękką glinę. Światło powoli odsłaniało kępy paproci, potężne porośnięte mchem i hubą pnie drzew. Jeszcze tylko dwa, trzy kroki, powtarzał w myślach, celując niezdarnie pistoletem w stronę widmowego celu.

Tych kilka kroków wystarczyło, by Wiktor zdał sobie sprawę ze sztuczek, jakie funduje zmęczonym zmysłom ciemność i zmęczenie. Upiornym kształtem okazała się być biała rozpięta na dwóch długich kijach koszula. Wiktor zaśmiał się głośno na myśl o własnej głupocie i nagle uświadomił sobie, że ten płócienny łachman jest właśnie znakiem, który zostawili jego przyjaciele. Rozejrzał się wokół i szybko znalazł odchodzącą od głównego traktu ścieżkę mającą zaprowadzić go najkrótszą drogą nad jezioro.

W porządku, pomyślał uspokojony, teraz trzeba przejść kilkanaście metrów wijącą się dróżką i już można wypatrywać smolistoczarnej toni jeziora, w której w bezchmurnej nocy odbijają się gwiazdy.

Zwabione światłem lampy owady szybko zebrały się w stado krążące wokół dłoni Wiktora. Ciemność kłębiła się, ale tym razem odarta była z wszelkich niezrozumiałych fenomenów. Szeleściły paprocie, cierniste krzaki szarpały rękawy. Zahuczała



gdzieś spłoszona sowa. Mężczyzna szedł wolno, nie ufając za bardzo leśnym ostępom i ich pułapkom. Wszędzie mogły straszyć stalowe szczęki sideł zastawianych przez panoszących się kłusowników.

W powietrzu dało się wyczuć zmianę. Parujący zaduch lasu ustąpił ostremu chładowi jeziora. Jeszcze dwa kroki i...

– Bogowie... – szepnął Wiktor na widok okrągłego jak czarna moneta jeziora, gładkiego, niezakłóconego najmniejszą nawet zmarszczką, w którym odbijały się letnie gwiazdozbiory i pilnujący je księżyc. „Absolutna cisza zatrzymanego czasu...” – powtórzył bezwiednie słowa wiersza, jaki zmuszony był przeczytać w szkole. Gardząc poezją, był jednak w stanie docenić jej siłę, która potrafiła zamknąć takie momenty w kilku prostych słowach.

Jeszcze kilka chwil stał jak zahipnotyzowany na granicy lasu, aż w końcu przypomniał sobie o zadaniu, jakie go czekało. Pomost. Gdzieś na brzegu musi być pomost. Znajdę go, zabiorę „Anatomię” Glassa i wrócę, by udowodnić tym pyszałkom...

Ruszył, instynktownie skręcając w prawo, tam gdzie spodziewał się znaleźć zejście do jeziora i krótki pomost. To nie może być daleko, skoro dotrzeć tu miała ta samobójczyni. Ile ona miała mieć wtedy lat? Dziewiętnaście? Była wtedy prawie w moim wieku, przeszło mu przez myśl i krótki dreszcz szarpnął jego ciałem. Przypomniał sobie o ściszanym w spoconej dłoni pistolecie. Jego ciężar dodawał odwagi, ale Wiktor z uporem przekonywał sam siebie, że nie ma się czego bać.

Brodził teraz w wysokiej mokrej trawie. Wilgotne nogawki spodni przyklejały się do łydek. Trzymana lampa wyrwała ciemności tylko niewielki strzęp przestrzeni.



W końcu wypatrzył pomost prowadzący kilkanaście metrów w jezioro. Zatrzymał się na jego skraju i delikatnie postawił stopę na pierwszej desce. Obawiał się, że być może zbutwiałe drewno nie udźwignie ciężaru ciała. Deska cicho zatrzeszczała, ale wydawała się być solidna. Ruszył ostrożnie do przodu, depcząc prześlizgujący się pod stopami krąg bladego światła.

– Jest... – wyszeptał, gdy mdła poświata dotknęła jasnobrażowej okładki atlasu anatomicznego, potężnej księgi leżącej na skraju pomostu. – Jest... – powtórzył głośniejszym, tryumfalnym głosem.

Podszedł bliżej. Przyklęknął na jedno kolano, odłożył lampę i sięgnął po zdobycz.

A wtedy zza krawędzi pomostu wysunęła się ręka...

Ociekająca wodą trupioblada ręka.

Wiktor krzyknął przerażony. Strach rzucił jego ciało do tyłu. Chciał wstać, ale przewrócił się i uderzył plecami o deski pomostu. Serce zaczęło tłuc w piersiach. Pełził tyłem, próbując bez skutku podnieść się i uciec, a podeszwy ślizgały się na wilgotnej powierzchni.

Ręka, wciąż podświetlona lampą, wpięram wyprostowana ku górze, teraz sztywno opadła na książkę i zacisnęła na niej palce. Wiktorowi w końcu udało się dźwignąć rozdygotane ciało. Ogłuszony szalejącym tętnem krwi, które wypełniło mu uszy, odwrócił się, by przebiec cały pomost i... odbił się od stojącej postaci.

Znów wrzasnął, zdawszy sobie sprawę z tego, że stoi przed nim kobieta ubrana w jasną suknię i wyciąga w jego stronę chude ręce. Twarz skryta w ciemnościach wydawała się uśmiechać kpiąco. Wiktor, na wpół oszalały ze strachu, cofnął się o dwa kroki i w ostatnim przeblysku racjonalnej myśli z trudem



wycelował w zjawę pistolet. Krzycząc, pociągnął za spust. Lufa splunęła ogniem, huk rozszarpał ciszę nocy.

Widmo, ku przerażeniu Wiktora, stało niewzruszone. Przecież nie mógł chybić z tej odległości...

– Oj nie tak, nie tak się walczy z duchami, kochany – zjawa odezwała się męskim głosem, w którym dało się usłyszeć tłumiony śmiech. – Zwykłą ołowianą kulą nie zatrzymasz zmarłej nieszczęśliwej topielicy...

Wiktor przełknął ślinę, zbyt oszołomiony, by móc wykrztusić z siebie choćby słowo. Wpatrywał się w stojącą przed nim postać, która nagle, szeleszcząc suknią, ruszyła w jego stronę.

– Wiktor, bracie, nie poznajesz mnie? – męski głos zadał pytanie, na które mężczyzna nie potrafił odpowiedzieć. – Dobrze, że Feliks nie włożył kul do twoich pistoletów, bobyś mnie ustrzelił jak zająca. Wiktor! Panowie, Wiktor nam chyba...

– Nie zapomnę wam tego... – wymamrotał w chwili, gdy uświadomił sobie, że zjawą w sukni jest jego przyjaciel, Juliusz.

Na brzegu jeziora zapłonęła latarnia. Zabrzmiał śmiech, po chwili po pomocy różnym krokiem maszerował Feliks, zaśmiewając się do łez ze znakomitego, doskonale odegranego przedstawienia. Już wyciągał ramiona ku Wiktorowi, już ścisnął go po przyjacielsku, żartując sobie ze stojącego niepewnie na nogach towarzysza.

– Panowie, pomóżcie mi zdjąć tę przeklętą suknię – Juliusz szamotał się z materiałem, próbując jednocześnie uwolnić ręce z ciasnych rękawów i przełożyć całą suknię przez głowę.

– Powiedz, że się nie gniewasz, powiedz – Juliusz popatrzył w oczy Wiktorowi. – Nie chcieliśmy za bardzo cię wystraszyć.

– Prawdę mówi – potwierdził Feliks. – Nie zapaliliśmy nawet saletry...

– Nie zapaliliśmy, bo zamokła – zaśmiał się Juliusz.

– Nie daruję wam tego... – mamrotał Wiktor, chociaż czuł, jak oszołomienie powoli ustępuje miejsca wściekłości, a ta błyskawicznie zamienia się w ulgę. Nawet na torturach nie przyznałby się, jak wielką radość sprawił mu widok przyjaciół, z którymi wędrował po ciernistych ścieżkach edukacji w Antipolis.

– Nie daruję wam tego... – powtórzył, zdobywając się na słaby uśmiech.

*

Kilka dni później Wiktor przeżywać miał męki innej natury. Rodzinny majątek, jak większość otaczających Antipolis posiadłości ziemskich, brodził w nudzie późnego lata. Cała rodzina, rezydenci, służący, których nieme figury snuły się po wszystkich pokojach, szukając innego zajęcia niż wybijanie much i wycieranie kurzu – wszyscy oni zdawali się wypatrywać jesieni, pory, gdy życie towarzyskie przenosi się do dużego miasta. Tutaj, na prowincji, zwalniają zegary, a czas odmierzają kolejne nudne wizyty sąsiedzkie tych, którzy zdążyli już opowiedzieć sobie o wszystkim, co nadawało się do powtórzenia i nie naruszało na ogół pilnowanych zasad grzeczności.

Ileż można polować? Ileż razy można urządzać zabawy na świeżym powietrzu, kończące się mizernymi pokazami fajerwerków? Ileż razy podawać rękę tym samym kuzynom i kuzynkom, uciekać przed tymi samymi starzejącymi się pannami, dla których każde lato było latem ostatniej szansy na zamążpójście?



Tymi pytaniami właśnie zadreęczał się Wiktor, gdy zmuszony etykietą siedział przy obiedzie, na którym zjawił się towarzysz broni ojca z Wojny Dziesięcioletniej. Otyły, łysy mężczyzna rozpieął się na honorowym miejscu i wielkopańskim ruchem ręki wskazywał służącemu, by ten stale dolewał mu wino, które natychmiast znikało w przepastnej gardzieli.

– Oni chyba mają jakąś rację, Waclawie – zwrócił się do ojca Wiktora. – Ci młodzi mają jakąś rację, gdy narzekają, warczą, krzyczą, biegną do stajni po konia, by gnać przed siebie. Ucieknij taki rano od śniadania, a wróci w nocy, bogowie wiedzą skąd... Oni mają jakąś rację...

Urwał, by wypić podane wino i rozejrzeć się wokół. Chciał ocenić, jakie wrażenie zrobiły jego słowa na zebranych przy stole biesiadnikach. Nikt przez uprzejmość nie zaprotestował (bo i nie było takiej potrzeby), ani nie zauważył, że szanowny pan Ignacy, były kapitan strzelców, od kilku lat przynajmniej powtarza te same słowa z takim namaszczeniem, jakby odkrył przed słuchaczami prawdę najświętszą ze świętych.

Wiktor spojrzał na ojca, u którego dostrzegł gorączkowe wysiłki, by zmienić temat rozmowy. Seniora rodziny męczyły rozważania o teraźniejszości. Tej miał aż nadto, gdy starał się mniej lub bardziej umiejętnie zarządzać sporym majątkiem, jaki odziedziczył po rodzicach. Musiał doglądać, pilnować, obliczać zyski i wydatki, bilansować kolumny, co w przypadku najbogatszych właścicieli ziemskich powierzano zatrudnianym ekonomom. Nie, ojciec Wiktora był zbyt oszczędny (nie oszukujmy się, był skąpy), by pozwolić sobie na taki luksus.

Teraźniejszość Waclawa Horaja była o tyle ciekawa, o ile można było znaleźć w niej towarzysza do rozmów o przeszłości, o Wojnie Dziesięcioletniej, której mgła rozpostarła się

nad połowę Europy i zmieniła życie całego pokolenia młodych wówczas mężczyzn. Skuszeni przez bóstwa wojny obiecujące awans społeczny, szybką karierę, przygodę i sławę, ginęli w pięknych mundurach strącani z koni, miażdżeni kopytami, rozrywani szrapnelami lub przebijani bagnietami. Dziesięć lat wystarczyło niektórym, by przy odrobinie szczęścia dosłużyć się wyższego stopnia, zdobyć kilka odznaczeń, a następnie osiąść w glorii i chwale bohatera i pobierać dożywotnią rentę przeznaczoną dla weteranów.

– Tak – ciągnął pan Waław. – My mieliśmy jakiś cel w życiu. Biliśmy się i to nieźle się biliśmy, pamiętasz, Ignacy? A oni? – podniósł rękę i wskazał Wiktora i jego dwóch młodszych braci. – Co mają robić ci młodzi, gdy nie mają wojny? Na Jowisza! Iluż możemy mieć lekarzy lub prawników?

Wiktor skrzywił się, słysząc tę złośliwą aluzję, ale szybko ukrył grymas, podnosząc do ust kieliszek z winem. Chciał się odezwać, ale równie szybko zostałby skarcony przez ojca, który nie dopuszczał, by niepytani o nic młodszy zaczynali dyskutować ze starszymi i mądrzejszymi. Nie miał dziś ochoty na sprzeczki. Było za gorąco. Muchy krążyły leniwie nad stołem, a myśli przyduszone były obfitym posiłkiem. Spojrzał na matkę i siostrę. Siedziały sztywno i zgrabnie kroili podane mięso na drobniutkie kawałeczki. Bracia skończyli jeść i teraz wycierali usta serwetkami.

Wszyscy zdawali się czekać, aż głowa rodziny da znać, że obiad skończony, a wtedy każdy odejdzie od stołu i na własną rękę spróbuje przetrwać kilka najbliższych godzin, jakie zostały do wieczora, na który zaplanowano kolejny posiłek. Służący zbiorą niedojedzone potrawy, zastawa wyląduje w kuchni, gdzie już zapewne kucharka pracuje nad wykwintnymi daniami, jakie

podane będą na kolację. I tak w kółko, wciąż i wciąż, pomyślał gorzko Wiktor, niech to lato się już skończy, inaczej oszaleję...

*

Po obiedzie Wiktor zamknął się w swoim pokoju. Podszedł do biurka i wyciągnął z szuflady list przyniesiony wczoraj przez posłańca. Usiadł na krawędzi łóżka, a wzrok po raz kolejny zaczął ślizgać się po zdaniach skreślonych znajomym charakterem pisma. Uśmiechnął się czytając, że Feliks, jego najbliższy przyjaciel, również dręczony jest przez rodzinę, a tortury te nie mogą się równać z niczym, z czym zetknął się Wiktor. Dobrze wiedzieć, że ktoś ma gorzej niż my – taka niezbyt moralna myśl przyświecała mu nader często.

Kochany Wiktorze,

Mam nadzieję, że nie gniewasz się już na nas za ten niewinny figielek, jaki udało nam się spletać. Chcieliśmy po prostu sprawdzić Twój chłodny i logiczny umysł, który zawsze podpowiadał Ci, że nie istnieje nic, czego przez Twoje szkła powiększające dostrzec nie sposób. Rzecz jasna udało nam się to tylko połowicznie – do pełni sukcesu brakowało nam tylko tego, by prawdziwa zjawia utopionej nieszczęśliwej dziewczyny pokazała się na brzegu jeziora i zawyła.

Nie wracajmy jednak do tego, czego wspomnienie wciąż może przyprawiać Cię o drżenie tydek. Zapewne zastanawiasz się, co porabia Twój kochany Feliks. Czy wciąż biega za niedostępną Rozalią, którą rodzice już przeznaczyci dla obrzydliwie bogatego i wpływowego hrabiego Krantza? Czy starszy brat już wdraża go do życia dziedzica i pokazuje, jak najskuteczniej zarządzać skromnym majątkiem? A może Twój Feliks leżakuje jak dobre wino, zażywa kąpiele słonecznych lub wólczy się ze strzelbą

po okolicznych lasach i w ten sposób marnotrawi ostatnie dni wakacji?

Nic z tych rzeczy, mój drogi. Ojciec od kilku tygodni narzuca się pewnemu zdziwczalemu staremu baronowi, którego otacza przedziwna aura. Otóż starzec ten, bezdzietny, dawno temu owdowiały, dysponuje ponoć okazałym majątkiem, który gromadzi wokół niego całe stado sępów liczących na korzystne zapisy pieniężne. Kilka osób ponoć odpuściło już jego posiadłość, trzymając w rękach dokumenty gwarantujące im bezzwrotne pożyczki lub innego rodzaju superaty.

Zgadnij więc, co mój pazerny ojciec postanowił zrobić. Skorzystał z okazji, jaką było posiadanie wspólnych znajomych, i wprosił się do barona na obiad, który to stał się preludeum kolejnych i kolejnych wizyt. Stary baron nigdy nie otwiera okien, nosi białe rękawiczki, których nigdy nie zdejmuje, a za duży surdut wisi na nim jak na strachu na wróble.

Cztery razy już siedzieliśmy w ciemnym, dusznym salonie, gdzie ojciec klarował baronowi potrzebę zakupu nowoczesnych maszyn, które to w znaczący sposób podniosą kulturę rolną naszej okolicy.

Upokorzony byłem zebranią ojca, który nigdy wcześniej o żadnych maszynach nie wspominał, bo sprawami ziemi od dawna zajmuje się mój najstarszy brat. Siedziałem sztywno, nie odzywałem się nie będąc pytany, więc kilka godzin zmuszony byłem słuchać przedziwnych opowieści barona.

Był on, jeśli wierzyć jego słowom, dyplomatą Korony i w czasie Wojny Dziesięcioletniej podejmował się delikatnych misji w całej Europie. Stary głupiec jednak wciąż zmyślał nieistniejące fakty, mylił stolice walczących stron. Szkoda mojego doskonałego szwedzkiego atramentu, by opisać te wszystkie niedorzeczności.

Mój ojciec zaś podsycił w baronie zapal gawędziarza, który, uczepliwszy się raz przychylnych mu słuchaczy, zamierzał zanudzić ich na śmierć. Ojciec kiwał głową, klepał mnie po ramieniu, gdy baron wybuchał śmiechem, pointując kompletnie nieśmieszną opowieść. A ja, poddany okolicznościom, wymuszałem na sobie śmiech, chociaż czułem się podle, jak rzadko kiedy.

Ojciec niewiele osiągnął i ku mojej uciezce, tych kilka wizyt u zdziwaczałego barona zakończyło się kompletnym fiaskiem. Dziesiątki przejechanych kilometrów, zepsuty powóz, który nie wytrzymał wyboistej drogi, jaką pokonywał zbyt często w zbyt krótkim czasie, i urażona duma mojego ojca (jeżeli kiedykolwiek jakąkolwiek miał) – to były koszty, jakie musieliśmy zapłacić.

Na dodatek ów stary baron poczęstował mnie w tajemnicy przed ojcem jakimś likierem, którego smak można porównać tylko do smaku zdechłej wiewiórki. Nigdy takowej nie jadłem, ale niech to porównanie pomoże Ci zrozumieć, z jakim obrzydzeniem myślę o tym człowieku i jego domostwie.

Możesz zapytać, w jakim charakterze ja tam się znajdowałem. Otóż ojciec wymyślił sobie, że przedstawi mnie jako jedyną nadzieję swojego majątku ziemskiego. Zapaleńca, którego marzeniem jest siać groch i owies, doglądać krów i świń. Mój młody wygląd miał przekonać starego barona, że patrzy na prawdziwego pasjonata, od którego działań zależą bez mała losy rolnictwa w całej Koronie.

Śmieję się, śmieję... Ja, który o niczym innym nie marzę jak tylko o ucieczce z tej zatęchłej kapuścianej wsi, w oczach barona urosłem do rozmiarów tytana, którego przeznaczeniem są brudne paznokcie i włosy śmierdzące gnojówką. I mam wrażenie, że wciąż i wciąż przeżywam to lato i nie mogę wyrwać się z kieratu

najpierw uczelni, teraz domu, potem znów uczelni. Czy Ty też to czujesz?

A z tego, co wiem, to nasi przyjaciele w równie wesoły sposób spędzają ostatnie dni przed rozpoczęciem roku akademickiego. Mam nadzieję jednak, że ich też spotkało coś, w czego świetle moje zawstydzające przygody zbledną jak ścięta trawa leżąca na słońcu.

Bywaj, drogi Wiktorze. Nie uschnij przed naszym spotkaniem w Antipolis. Już nie mogę się doczekać, aż znów staniemy przy bilardowym stole.

Twój Feliks, zawsze szczęśliwy.

Wiktor starannie złożył list, a następnie schował go do szuflady. Biedny Feliks, pomyślał. Jeden z najlepszych studentów historii zmuszony do ogrywania roli młodego ambitnego agromoma. Smutne to, chociaż widok przyjaciela, męczącego się i wijącego pomiędzy własnym ojcem a jakimś bogatym dziwakiem, był dość pocieszny.

Nagle głośny tubalny śmiech pana Ignacego wypełnił całe domostwo. Drzwi do niemal wszystkich pomieszczeń były pootwierane z powodu upału, więc głos nieznanego niósł się daleko i wypełniał pokoje. Wiktor zacisnął pięści, próbując opanować nerwy. Nie znosił tych sytuacji, gdy goście ojca, najczęściej starzy wiarusi, weterani tamtej wojny, co jakiś czas zjeżdżali się, by powspominać przygody młodości. Niejeden podpierał się już laską, twarze innych orały głębokie blizny. Toporne protezy zastępowały stracone kończyny. Jednak każdy z nich miał w oczach ten specyficzny chłód, zimny poblask śmierci – zadanej wrogom lub tej, której cudem się uniknęło.

Mężczyźni sporo pili. Dym cygar i fajek kłębił się w salonie. Służący donosili kolejne butelki z winem, kuchnia bez ustanku

wydawała sztuki pieczonego mięsa. Reszta rodziny musiała kryć się w odległych częściach domu, gdy byli żołnierze wznosili toasty na cześć dozgonnej przyjaźni, której fundamenty stawiano na polach bitew. Wielka uczta potrafiła trwać do późnej nocy, gdy zmęczeni biesiadnicy rozjeżdżali się do swoich rodzinnych majątków lub decydowali się spędzić noc w pokojach przeznaczonych dla gości.

Dziś jednak Wiktor miał prawo oczekiwać, że libacja będzie krótka. Jutrzejsze dożynki, kapłan, któremu trzeba będzie zapłacić za przeprowadzenie rytuału wdzięczności za udane zbiory, przygotowanie uczty dla pracowników rolnych – to wszystko tradycyjnie spadało na głowę właściciela ziemi, a głowa ta musiała być trzeźwa.

A więc to już końcówka sierpnia, pomyślał i zalała go fala smutku. Kiedy zdążyły minąć te miesiące?

*

Łucja patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Poprawiłszy luźno upięte włosy, których czarne fale zdawały się żyć własnym życiem, gdy tylko nie przytrzymały ich szylkretowe spinki, zaczęła wygładzać falbany luźnej błękitnej sukni, wybranej na dzisiejszy poranek. Wciągnęła powietrze i ścisnęła talię granatową szarfą. Obróciła się parę razy wokół. Przyjemność sprawiała jej chłodna podłoga, którą czuła bosymi stopami.

Wtem dostrzegła coś w kącie prawego oka. Przybliżyła się do powierzchni zwierciadła, ale natychmiast od niego odskoczyła i wyciągnęła z szuflady toaletki niewielkie okrągłe lustro. Podbiegła z nim do okna, za którym błyszczał poranny ogród.

Tuż obok źrenicy rozplywała się niewielka ciemnoróżowa plamka. Dziewczyna zamrugła szybko. Brzydkie przebarwienie, najprawdopodobniej pęknięte naczynko, wciąż szpeciło oko.

– Jak ja się teraz pokażę? – jęknęła cicho. – Skąd to się wzięło? Jak ja się dzisiaj pokażę?

Jej myśli pogalopowały ku szafie, gdzie wśród kilku kapeluszy szybko znalazła jeden, którego delikatna biała woalka mogła przesłonić połowę twarzy. Niewiele myśląc, założyła go i wybiegła z pokoju.

– Mamo! Mamo! – krzyczała, przytrzymując na czubku głowy opadający kapelusik. – Mamo!

Przebiegła przez kilka pomieszczeń, które ku jej zdziwieniu okazały się puste i ciche.

– Gdzie jesteście wszyscy?!

Wbiegła do kuchni, z której buchnęły zapachy gotowanej kapusty, grzybów i ziół. Otyła kucharka obierała akurat jabłka, a jej brzydka, wiecznie zgarbiona pomocnica starała się utrzczyć coś w mosiężnym moździerzu. Obie spojrzały ze zdziwieniem na młodą dziedziczkę, którą chyba pierwszy raz w życiu zobaczyły w pomieszczeniach przeznaczonych dla służby.

– Gdzie są wszyscy? – zapytała, mając na myśli matkę i siostry. – Cały dom jest pusty.

Kucharka odłożyła nóż i jabłko. Wytarła spierzchnięte usta wierzchem pulchnej dłoni.

– Był jakiś wypadek na polu – odpowiedziała, skłoniwszy lekko głowę. – Przyszli po panią, bo coś się stało. I panienki siostry też pobiegły, chociaż pani nie chciała. Ale wyrwały się i pobiegły. I nie można ich było zatrzymać...



Łucja zagryzła wargę. Nie takiej odpowiedzi się spodziewała. Wypadek na polu? W przeddzień dożynek? I trzeba było przywoływać matkę? To musiało być coś poważniejszego, skoro posłano właśnie po nią. Wcześniej ojciec zajmował się wszystkim, co dotyczyło ziemi – płacił podatki, prowadził księgi rachunkowe, pilnował dość gnuśnych robotników rolnych, którzy spuszczeni z oczu nawet nie udawali, że pracują. Z chwilą śmierci dziedzica (choroba płuc nie pozwoliła mu dożyć pięćdziesiątki) cały ciężar zarządzania majątkiem spadł na wdowę, którą dodatkowo obciążało wychowywanie trójki dorastających córek.

W sąsiedztwie dworku Malewskich podniosły się głosy zatroskanych ziemian, którzy zbierali się, by raczej chóralnie współczuć nieszczęśliwej kobiecie i snuć wizje upadku jej rodziny, niż po to, by pomóc w najcięższych dla niej chwilach. Jednak, ku rozczarowaniu zatroskanych, wdowa odnalazła w sobie dość siły, by nie tylko wyrwać się z tarapatów finansowych, ale również pomnożyć stan posiadania i otworzyć przed córkami drogę do korzystnego zamążpójścia.

Żelazna ręka, nieugięty charakter zahartowany przez wdowieństwo, majestatyczne czarne suknie, kapelusze z potężnymi rondami – to zbudowało wizerunek kobiety, przed której wewnętrzną siłą można było jedynie się cofnąć. Część tej siły, jak okazywało się coraz częściej, spłynęła na jej córki.

Łucja nie miała wątpliwości, że matka musiała zmierzyć się z czymś poważnym. Nikt nie wzywałby jej, gdyby w grę wchodziła chora krowa lub pożar ścierniska. Założyła wysokie buty do jazdy konnej i wyszła z domu. Stała na ganku, rozejrzała się po szerokim podwórku otoczonym budynkami gospodarczymi. Kilku mężczyzn zebrało się obok stajni. Z daleka widać było, że palą fajki, korzystając z chwili spokoju po porannym zamęcie. Łucja nigdy nie spoufalala się z pracownikami rolnymi, więc

podeszła do nich stanowczym krokiem i, poprawiwszy ledwie trzymający się na głowie kapelusik, zapytała ostro:

– Gdzie jest moja matka? Gdzie pojechała?

Mężczyźni spojrzeli po sobie, mrużąc oczy w świetle wspinającego się ku zenitowi słońca. Najstarszy z nich zrobił krok do przodu, zdjął kapelusz i odpowiedział:

– Pani i panienki pojechały na łąkę obok sadu. Tam rano znaleźli martwe dziecko. Dziecko z wioski. Pani tam pojechała.

Tego Łucja się nie spodziewała. Zaschło jej w gardle, a język zeszywniał. Splotła za plecami palce, kryjąc tym samym zdenerwowanie.

– Dziecko z wioski? – chciała się upewnić.

– Tak, panienko – powtórzył chłop, a reszta pokiwała głowami potwierdzając jego wersję. – Nic więcej nie wiemy.

*

Jutro dożynki, pomyślała, a tutaj martwe dziecko na naszym polu. Chciała obudzić w sobie jakieś współczucie, ale nie potrafiła. Ciekawość, która ją popchnęła do marszu w kierunku sadów, zagłuszyła subtelniejsze uczucia. Usiłowała skarcić samą siebie za myślenie tylko o zbliżających się uroczystościach, o spotkaniu z przyjaciółkami z okolicznych dworców, o kilku interesujących kawalerach, którzy być może zjadą się, by sprawdzić, jakie walory oferują im miejscowe piękności.

Łucja i jej siostry dobrze wiedziały, że za kilka tygodni życie towarzyskie przeniesie się do Antipolis, a tam dziewczynom z prowincji ciężko dorównać pannom, nad których urodą czuwają krawcy, fryzjerzy, całe stada pań do towarzystwa, których zadaniem jest również maskowanie wszelkich niedociągnięć urody szykowanych do zamążpójścia młodych

kobiet. W salonach wielkich domów swatki szerokim łukiem omijają dziewczyny ubrane w modne w zeszłym roku suknie. Nieszczęśnice mogą liczyć tylko na zainteresowanie biedniejszych, brzydszych, choć może szlachetnych i dobrego serca kawalerów... Snuła tego typu rozważania, idąc polną drogą, która miała zaprowadzić ją na miejsce dramatu.

Już z daleka widziała lekki powóz matki, którym zwykła poruszać się ona po okolicy. Nieopodal mrowili się ludzie ze wsi. Pracownicy rolni, kobiety, dzieci, które krążyły w małych grupkach lub oddawały się prostym zabawom, ignorując przedmiot ciekawości dorosłych.

Było gorąco. Nawet najmniejszy podmuch wiatru nie chciał pchnąć stojącego powietrza. Słońce wspinało się na najwyższy punkt nieba, by stamtąd rozlewać żar. Cienie skróciły się i ginęły pod deptającymi je podeszwami. Do uszu dziewczyny szybko dotarły wzburzone niskie głosy mężczyzn, którzy przekrzykiwali się wzajemnie. Ich ogorzałe twarze płonęły od emocji, a jakaś wściekłość pomieszana z niezrozumieniem wykrzywiła usta próbujące tłumaczyć nieszczęście, które ich tu sprowadziło. Zebrane milczące kobiety stały nieco z boku, starając się mieć dzieci w zasięgu wzroku. Niektóre rozglądały się, jakby wypatrując zagrożenia, które mogło przyjść bądź to ze strony ciemnego sadu, bądź to ze strony pustego pola, nad którym falowało rozgrzane powietrze.

Dziewczyna, nie bacząc na nic, wpadła pomiędzy ludzi, którzy niechętnie rozstąpili się przed drobną, ubraną na niebiesko osobką. Na moment otoczył ją cierpki zapach brudnych chłopskich ciał, spoconych zgrzebnych roboczych ubrań i tytoniu, który tlił się w glinianych fajkach. Mając nadzieję, że nie ubrudzi świeżo założonej sukienki, przepchnęła się przez ciżbę, by nagle znaleźć się za plecami wciąż noszącej żalobę

matki. Kilka metrów dalej, na zdeptanej, wypalanej słońcem trawie, leżały zwłoki dziecka nakryte białym kawałem płótna. Obok klęczała kobieta. Twarz wykrzywioną grymasem rozpaczy wycierała wierzchem brudnej dłoni. Cichy jęk wydobywał się ze spierzchniętych ust.

– Musimy zawiadomić władze. Gdy wrócę do dworku, pošlę do miasta po policję – Łucja usłyszała głos matki. Był stanowczy. Twardy jak wysuszone drewno.

– Trzeba? – zapytał stojący obok chłop. Wysoki starszy już mężczyzna zmrużył oczy i przygryzł cybuch fajki. Miał dumną postawę, potężne siwe wąsiska, a płatanina zmarszczek sugerowała, że osiągnął już ten wiek, w którym może wypowiadać się w imieniu gromady. Być może był to wójt, pomyślała Łucja.

– Tak, trzeba – ucięła kobieta. – Nie znamy przyczyn śmierci tego dziecka.

W tym momencie Łucję dostrzegły dwie siostry, które przyjechały z matką na miejsce, gdzie znaleziono zwłoki. Podeszły do niej jakby lekko speszone i uśmiechnęły się blado.

– Tam leży ten chłopiec – powiedziała półgłosem Marianna, najmłodsza siostra, niewysoka, nieco okrągłutka panna.

– Tak, widzieliśmy go, zanim go nakryli – dodała siostra druga, Anna. – Leżał, jakby spał. Taką spokojną miał twarz. A potem przyprowadzili jego matkę, a ta zaczęła tak płakać, mówię ci. Myślałam, że serce nam pęknie, prawda? Powiedz, Marianno, powiedz.

– Ale jak to się stało? – zapytała Łucja.

Matka sióstr odwróciła się nagle.

– Łucjo, weź stąd siostry i wracajcie do domu tak szybko, jak to tylko możliwe – zaczęła. – Ja za chwilę do was dołączę. To

nie jest miejsce dla was. Śmierć nie jest problemem, o którym chciałabym tu z wami rozmawiać. Tym bardziej śmierć dziecka. Zrozumiałaś?

Łucja nawet nie próbowała dyskutować z matką. Ostatni raz objęła wzrokiem fragment łąki, gdzie bieleł się całun. W tle czerniła się ściana sadu. Gdzieś po bokach krążyli niespokojnie ludzie, których wyrwano nagle z kolein codzienności. Nie, śmierć nie była na wsi czymś nadzwyczajnym, ale zawsze przypominała o ciemności i mgle, które czekają po tamtej stronie. Można było sobie wmawiać, że cykl życia i śmierci jest wieczny, że skoro dostaliśmy światło, trzeba je będzie kiedyś oddać, ale...

*

Juliusz nienawidził pakowania. Wielka, żeby nie powiedzieć ogromna, waliza, którą zapobiegliwi rodzice kupili mu, zanim zaczął studia w Antipolis, była piekielnie nieporęczna. Oczywiście, sprawdzała się wtedy, gdy trzeba było przewieźć do miasta ubrania, buty, książki, ale w krótkich podróżach była jedynie kanciastą bryłą, którą taszczyć trzeba było z miejsca na miejsce, z powozu do powozu, z pokoju do pokoju. Wszędzie, gdzie zabierał go kapłan, u którego terminował.

Jako student drugiego roku teologii nie miał wyboru, musiał związać się na kilka miesięcy z praktykującym kapłanem, u boku którego poznać miał wszystko, z czym do tej pory zaznajomił się przy pomocy podręczników. Ale czy kiedykolwiek miałem wybór? Takie pytanie zagnieździło się w nim na dobre i z bolesną regularnością dopominało się odpowiedzi. Odpowiedzi, która zawsze była przecząca.

Bo czy mógł iść w ślady ojca i jego braci, którzy w czasie Wojny Dziesięcioletniej wysłużyli sobie majątki i to siedząc za

biurkami w ministerstwie obrony? Od lat nikt już nie potrzebował tylu wojskowych urzędników, od lat nie można było liczyć na tak łatwe pieniądze. Wojna jednych wynosi na powierzchnię, innych spycha na dno, gdzie muszą walczyć, by wrócić w objęcia dobrobytu.

Ojciec naprawdę robił wszystko, by jego najstarszy syn nie zaznał nigdy biedy. Nie licząc się z głosem młodego człowieka, wysłał go do Antipolis, gdzie działała Akademia Teologiczna kształcąca przyszłych kapłanów.

„Jak myślisz, dlaczego ja im tyle płacę, gdy mają odprawić te rytuały? Gdy mają święcić zbiory? Gdy trzeba podjąć jakąś decyzję, dlaczego tak dobrze płacę wróżbiarom? No dlaczego? – tu zawieszał głos, by zwiększyć retoryczną siłę argumentu. – Bo za kilka lat tobie też tak dobrze będą płacić. Rozumiesz już?” – Tak mniej więcej wyglądała sięgająca niebios hipokryzja ojca Juliusza. Stary nie miał wątpliwości, jakie ukryte sprężyny poruszają mechanizmem świata, i błyskawicznie złamał kielkujący w synu idealizm.

Przez pierwszy rok nauki Juliusz zdążył przyzwyczać się do myśli, że nigdy nie sprzeciwi się woli ojca. Zyskał też miano najbardziej ponurego spośród studentów. Krążył korytarzami uczelni, patrzył niewidzącym wzrokiem na ludzi, z którymi został zmuszony rozmawiać. Całe dni zostawał w łóżku, w skromnym pokoju, który dzielił z dwoma innymi studentami teologii. Leżąc pod pierzyną, pozwalał, by umysł błędził gdzieś na pograniczu snu i jawy. Zaległości w nauce nadrabiał błyskawicznie, dziwiąc się przy tym, że cała ta teologia, te baśnie o bogach, bóstwach i duchach, wokół których zbudowano potężną maszynę rytuałów i zabobonu, nie rozpadła się jeszcze w proch i pył. Być może nie rozpadła się dzięki takim ludziom jak ja i mój ojciec, dochodził do finalnego wniosku.

Kilka ostatnich tygodni wakacji Juliusz spędził towarzysząc staremu Deoryckiemu, który wynajętym powozem krążył po całej prowincji. Kapłan skrupulatnie jak buchalter sprawdzał zapiski, które poczynił przed wyjazdem, i metodycznie przygotowywał się do każdego następnego rytuału. Zjawiali się zawsze punktualnie w wyznaczonym miejscu. Byli wylewnie witani przez gospodarzy domu, właścicieli ziemskich, fabrykantów, wojskowych, rzemieślników – każdego, kto chciał uzyskać błogosławieństwo, usłyszeć wróżbę dotyczącą przyszłości nowo narodzonego dziecka lub zawieranego właśnie ślubu. Jeśli było to możliwe, prowadzono ich do gościnnego pokoju, gdzie mogli odpowiednio przygotować się do obrzędów. A gdy ceremonia dobiegała końca, kapłanowi dyskretnie płacono i prowadzono na ucztę. Tam najczęściej spotykali kolejnych zainteresowanych, którzy życzyli sobie... Et cetera, et cetera...

Deorycki, przyjmując te wszystkie honory, ukradkiem posyłał Juliuszowi spojrzenie, z którego ten wyczytywał tryumfalne zadowolenie. Oczy kapłana wyrażały niezmaconą pewność: „Widzisz? Jesteśmy niezbędni. Przestań wątpić, chłopcze”. Student taszczył więc nie tylko własną walizę, ale również toboły pryncypała, a każde z pudeł, pudełeczek, zwojów, szkatulek, tub prędzej czy później okazywało się niezbędne. Szaty, w zależności od rodzaju ceremonii – żółte, białe lub niebieskie – składał starannie, polerował srebrny medalion będący znakiem kapłańskiej godności, zapalał i gasił kadzidła, których dym miał spowijać błogosławione przedmioty, miejsca, ludzi...

Jednak Juliusz, mimo pasma sukcesów, jakim były wakacyjne praktyki u boku Deoryckiego, nie mógł stłamsić setek wątpliwości. Za każdym razem wyobrażał sobie, że kapłan w duchu śmieje się z ludzi, którzy go wynajmowali. Płacili mu

za mamrotanie archaicznych formułek, machanie rękami, a nawet rozcinanie zwierzęcych brzuchów, by wypatrywać przyszłości w parujących bebechach.

Juliusz nie wierzył. Nie ufał. A miał stać się kimś takim, jak Deorycki – zblazowanym, sytym cynikiem. Jedyne myśl o czekających go dożynkach, gdzie miał spotkać się ze swoim przyjacielem Wiktorem, rozjaśniała wzbierające w nim ciemności.

*

Zdjął kapelusz i schylił się, by nie zawadzić głową o futrynę. Drzwi chaty były wąskie, kamienny próg wyszczerbiony, a wnętrze czarne, dopóki oczy nie przyzwyczyły się do półmroku. Mężczyzna przygotowany był na roje krążących w środku much, piwniczny zaduch i ciężkie, pełne zwierzęcych zapachów powietrze, które wypełniało niewielką izbę.

Staął tuż za progiem, położył na podłodze skórzaną torbę i zmierzył się wzrokiem z czekającymi na niego ludźmi. Głowa domu, chudy, przedwcześnie postarzały chłop, obracał w dłoniach przybrudzony kapelusz. Białą koszulę dopiero co wyciągnął ze skrzyni, ocenił gość, natomiast lniane portki wyglądały, jakby chłopina nie ściągał ich od zeszłej jesieni. Twarz mężczyzny nie wyrażała żadnych konkretnych uczuć, mimo że za plecami, na drewnianym łóżku, leżał jego martwy, przykryty płótnem syn, przy którym klęczała kobieta. Oparta całym ciężarem o drewnianą konstrukcję, mamrotała coś, co być może pozwalało jej nie oszaleć z rozpacz. Modlitwy? – pomyślał gość. – Do kogo można się modlić w takiej sytuacji?

W kącie izby, opierając się o piec, stała dwójka umorusanych bosych dzieci. Dziewczynka żuła suchy kawałek chleba, którym

dzieliła się z młodszym bratem. Oboje ignorowali krązące wokół ich ust muchy. Wyglądali, jakby wrosli w podłogę.

– Muszę zobaczyć ciało – oznajmił gość głosem, którego nie chciał czynić zbyt władczy. Wiedział, że chłopci nie ufają nikomu, kto przychodzi z zewnątrz, spoza wioski lub dworu, więc surowy ton dodatkowo mógłby zniechęcić do współpracy. – Nazywam się Aleksander Zmorski. Jestem policjantem z miasta. Posłano po mnie wczoraj z Modrokrwi. Od pani Malewskiej. Wiecie, kto to jest policjant, prawda? – chciał się upewnić.

Chłop pokiwał głową.

– Pilnujcie porządku – odpowiedział po chwili, starannie dobierając te dwa słowa.

– Tak, pilnujemy – potwierdził policjant i zapytał: – Mogę zobaczyć ciało?

Ojciec martwego dziecka mruknął coś niewyraźnie i szedł z drogi policjantowi. Ruchem dłoni polecił żonie, by się odsunęła. Kobieta z wyraźnym trudem podniosła się z klęczek i podeszła do stojących obok pieca dzieci.

– Zabierzcie te dzieci – polecił Zmorski i dodał: – A ty możesz zostać.

Kobieta spojrzała na męża, ten ruchem głowy pokazał drzwi. Po chwili w chacie nie było nikogo poza policjantem i chłopem, który usiadł na niskim taborecie i zaczął nabijać fajkę nową porcją tytoniu. Robił to, nie spuszczać oczu z policjanta, a ten przeszedł dwa kroki, by ukucnąć obok łóżka, na którym leżało ciało.